

071570

Cena numeru 25 gr.

Nr. 5

Wilno, 14 marca 1936 r.

Rok XIX

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 50 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 25 „

$\frac{1}{4}$ „ — 13 „

$\frac{1}{8}$ „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

Trzydziestolecie ideologii krajowej.

Idea krajowa datuje się od tak dawna, jak dawno istnieje W. Ks. Litewskie. Kształty realne nadał jej Witold Wielki, łącząc w jedną całość Litwę i Ruś i tworząc z nich odrębny organizm państwowy pomiędzy Polską a Moskwą. Idea ta przyświecała w ciągu wieków licznym wybitnym jednostkom spośród możnowładczych rodów litewskich: Gasztoldów, Radziwiłłów, Sapiechów, Paców, Ogińskich, w pewnych momentach porywała również tłum szlachecki, po upadku Rzeczypospolitej znajdowała wyznawców i adherentów w szeregach demokratycznych szermierzy wolności. Gorącym i zdeklarowanym jej rzecznikiem był „dyktator Litwy”, Konstanty Kalinowski. Nie brakło cichych jej sympatyków i potem, w czasach najsroźszego ucisku po-powstaniowego. Idea żyła w sercach i umysłach, lecz jako coś mglistego, bliżej nieokreślonego, raczej jako szacowna tradycja, niż jako drogowskaz i wyraźny cel w przyszłości. Ożywił ją, sformułował i zdefiniował dopiero Michał Römer w założonej przez siebie w r. 1906 „Gazecie Wileńskiej”.

Dn. 28 lutego 1906 r. ukazał się pierwszy numer wspomnianego dziennika, w którym artykuł wstępny rozpoczynał się w te słowa:

„Gazetę Wileńską” zamierzamy wydawać dla Litwy i dla Białej Rusi, to też w określeniu stanowiska naszego, musimy się kierować potrzebami krajowymi i w nich szukać punktu wyjścia dla wszelkiej akcji politycznej, społecznej i kulturalnej. Z tego też względu odrzucamy stanowisko, tak zwanych „kresów”, które kraje nasze — Litwę i Białoruś — traktuje jako satelity czyjeś, których rozwój i bieg ma być określony prawami ciężenia ku jakimkol-

wiek, ośrodkowi zewnętrznemu; nas, szczerych i prawowitych obywateli Litwy i Białej Rusi, powinno obowiązywać zupełne usunięcie wszelkiej tendencji do sztucznego podporządkowania rozwoju obu naszych krajów potrzebom rozwojowym krajów ościenych...”

Dalej czytamy:

„Chodzi nam o ustalenie współżycia rozmaitych elementów kulturalnie-narodowych w obu krajach na szczerem stanowisku wspólnego obywatelstwa krajowego. Uważamy, że właśnie takie współżycie, a nie zaborcze połączanie wszystkich kulturalnie-narodowych elementów przez którykolwiek z nich leży w interesie kultury ogólnej, bo w obywatelskim współżyciu ustali się i wzmocni wzajemne oddziaływanie rozmaitych pierwiastków kulturalnych, przez co dalszy rozwój kulturalny będzie bogatszy i płodniejszy, bo większa będzie różnorodność i barwność jego czynników...”

Powyższe dwa wskazania zasadnicze: odrębność i samodzielność ziem litewsko-białoruskich oraz równouprawnienie wszystkich narodowości, zamieszkujących je, stanowią podstawę ideologii krajowej. Programu bardziej szczegółowego, a zwłaszcza uwzględniającego stronę polityczną „Gazeta Wileńska” nie zdążyła opracować. Nie pozwoliły na to okoliczności zewnętrzne. Gorączkowe tempo przeobrażeń, jakim ulegała ówczesna sytuacja wewnętrzna w państwie rosyjskim, zagadnienia natury ogólnopaństwowej pochłaniały uwagę redakcji i odsuwały na plan dalszy problem wyodrębnienia Litwy i Białorusi, jako uzależniony od upadku ustroju absolutystycznego Rosji i zwycięstwa żywiołów rewolucyjnych. Zresztą „Gazeta Wileńska” po kilkumiesięcznym istnieniu skończyła swój żywot.

Jednakże kierunek ideowy, wytknięty przez Michała Römera, nie urwał się i nie przestał żłobić sobie drogi w psychice społeczeństwa polskiego na

Litwie i Białorusi. Hasło „krajowości” znalazło szeroki oddźwięk w rozmaitych sferach. Najpoczytniejszy w owych czasach na terenie Litwy i Białorusi „Kurjer Litewski” odnosił się doń z nieskrywaną sympatią, Przypadło ono również do gustu kołom konserwatywnym, czego rezultatem było utworzenie z inicjatywy Czesława Jankowskiego „Stronnictwa Krajowego Litwy i Białej Rusi” w czerwcu 1907 r., na czele którego stanęli wpływowi obszarnicy z Wileńszczyzny, Mińszczyzny i Grodzieńszczyzny. (Ziemiaństwo kowieńskie, pozostające bardziej pod wpływem demokracji narodowej, nie wzięło w tem stronnictwie udziału).

Warunki polityczne wszakże nie sprzyjały rozwojowi ideologii krajowej. Wzmagający się nacjonalizm rosyjski w konsekwencji wywołał wzrost nacjonalizmu wśród wszystkich narodowości, przeciwko którym zwracało się ostrze ataków „iście rosyjskich ludzi”. Wobec pogrzebienia projektu autonomii Kongresówki i niwelacyjnej polityki rządu rosyjskiego nastąpiło zbliżenie pomiędzy Kołem Polskiem a reprezentacją poselską z Litwy i Białorusi. „Kurjer Litewski” zlał się z demokratyczno-narodowym „Gońcem Wileńskim”. Powodujące się względami oportunistycznymi ziemiaństwo zrezygnowało z wszelkiej szerszej działalności politycznej.

Idea krajowa, mimo to, nie zagasła. Znalazła ona oparcie w srodowisku postępowej inteligencji wileńskiej, która zdobyła się na założenie własnego pisma, zwalczającego zachłanność i nietolerancję wszechpolaków. Przedwojenny „Przegląd Wileński” miał tę słabą stronę, że nie uwzględniał dostatecznie pierwiastka historycznego, zapatrując się na ideologię krajową wyłącznie prawie pod kątem widzenia oderwanej doktryny demokratycznej. Lukę tę uzupełniło, w miarę sił i możliwości, nasze pismo w wydaniu powojennym, wykazując genezę nowoczesnej idei krajowej w odległej przeszłości, w nawiązującą do

dziejów W.Ks. Litewskiego, w którym poczucie wspólności państwowej, przeważało stale nad zarysowującymi się tu i ówdzie dążeniami odśrodkowymi i antagonizmami wewnętrznymi.

Nie zanika więc i nie obumiera zapłodniona przed trzydziestu laty przez Michała RömERA ideologia krajowa, lecz przeciwnie rozwija się i nabiera kształtów pełniejszych.

Nierówne warunki.

Pamiętamy wszyscy niejednokrotne oświadczenia kierowników rządów polskich — zarówno przed, jak i po majowych, którzy twierdzili, iż Polska bynajmniej nie prowadzi polityki nacjonalistycznej w stosunku do swych mniejszości narodowych. Odwrotnie: według urzędowego oświadczenia b. premiera WitosA, właśnie w Polsce „mniejszości” korzystają z tak szerokiej swobód i uprawnień, jak w *żadnym* innym państwie na świecie...

Oświadczeniom tym, niestety, stale przeczyła szara, codzienna rzeczywistość. Ilekroć razy i w naszym piśmie podawane były fakty, stwierdzające najoczywistej, iż w państwie polskim, w stosunku do narodowości obcych, prowadzona jest polityka, niezgodna ani z Konstytucją polską, ani z „szczytnymi tradycjami tolerancji narodowej i wyznaniowej” (co do tych tradycji mamy zresztą poważne zastrzeżenia). Ale kierownicy nawy państwowej, bez względu na wcale nie idealną rzeczywistość, malowali w swych deklaracjach wprost sielankowe obrazki stosunków międzynarodowościowych, przede wszystkim zaś — stosunków, jakie istnieją pomiędzy narodowością w państwie panującą a „mniejszościami”.

Wystąpienie nowego ministra W. R. i O. P. Świętosławskiego, podczas debaty budżetowej w Sejmie na temat powyższy, odbiegło daleko od utartych wzorów jego poprzedników. Odrzucił wszelkie „obwijanie w bawełnę” istotnych dążeń polityki narodowościowej państwa i powiedział szczerze i otwarcie, dokąd iść pragnie. Ta szczerość i otwartość ministra posunięta została aż tak daleko, że prasa

Nie dynaści lecz pompadury.

(W odpowiedzi p. Z. Nagrodzkiemu).

P. Zygmunt Nagrodzki ma dobrą pamięć. Już sporo faktów z dziejów Wilna lat 80, 90 i następnych utrwalił lub sprostował w swych cennych artykułach, które czytamy zawsze z zainteresowaniem. Te przymioty posiada w równej mierze niedawny jego artykuł „Kto walczył o polską szkołę”, w „Kurjerze Wileńskim”. Na życie jednak składa się tak wiele dziedzin, że trudno dziś znaleźć, kto by równie dobrze orjentował się w każdej. Nikomu, oczywiście, nie ubliża, że temat ogranicza nieraz autora, więc nie uchybimy też p. Z. N., jeśli powiemy, że próby naświetlenia przezeń wielce skomplikowanych u nas stosunków kościelnych w w. XIX mniej były udane. Tem więcej, że podejście do nich było apriorystyczne. Poprzednio nie ustrzegło p. Z. N. od błędów w sprawie „trebników” dziełko poznaniaka ks. Przybyszewskiego, dziś nie ochronił go od tegoż nawet

dostęp do archiwów, którego, rzecz naturalna, nie należy zaraz utożsamiać ze zbadaniem jakiejś kwestji do dna. Uwydatniło się to błędne stanowisko autora szczególnie w zacytowanym wyżej artykule o tajnym szkolnictwie polskim w Wilnie.

Zwróćmy tu uwagę na następujące zdanie autora.

„Dzisiaj, gdy już mamy dostęp do archiwów, są podstawy do przypuszczeń, że to tak długo (do przybycia biskupa Hryniewickiego) działała organizacja szpiegowska prałata Niemekszy [nie Niemek-szy], złożona z osobników, którzy dzięki swojemu „powołaniu” mieli możliwość wglądania we wszelkie szpary życia ludzkiego, a z czego szeroko korzystali. Wówczas jednak poszkodowanym przychodziły do głowy różne grzeszne myśli i posądzenia: a może to ten krawiec co naprzeciwko, a może ten szewc co na dole... Miało to wszystko ten fatalny skutek, że przedłużało czas lęku, spuściło po r. 63, i siało wzajemną nieufność”.

W zacytowanym przed chwilą ustępie, p. Z. N. przypuszcza, rzekomo w oparciu o źródła archi-

prorządowa uznała za niezbędne osłabić wrażenie deklaracji p. Świętosławskiego, zamieszczając na swych łamach nader oryginalną, a najzupełniej dowolną interpretację przemówienia ministra W. R. i O. P.

P. Świętosławski m. i. oświadczył:

„Dążyć będziemy do tego, aby w związku z geograficznymi i strukturalnymi osobliwościami naszego państwa, stworzyć *na wszystkich jego połaciach* (podkreślenie nasze) mocne i zwarte ośrodki polskiej kultury narodowej, dostosowanej do charakteru danej części kraju“.

A więc: wysiłkiem państwa, jako całości, za pieniądze, składane do skarbu również i przez ludność niepolską, mają być i na ziemiach tejże ludności niepolskiej tworzone ośrodki kultury polskiej. Tworzenie takich ośrodków rząd obecny uznał za zadanie o znaczeniu *państwowem*. A że celem tworzenia „na wszystkich połaciach“ państwa ośrodków kultury polskiej najoczywiściej jest promieniowanie polskości na ludność obcą narodowo, inaczej: polonizowanie tej ludności, — to już samo przez się rozumie się. I p. minister tego bynajmniej nie ukrywa: w założeniu polskiej polityki narodowościowej leży bezsprzecznie *agresywność narodowa*.

P. Testis w „Kur. Wil.“ z dn. 20 lutego r. b., starając się osłabić narzucające się wnioski z zasadniczego założenia deklaracji p. Świętosławskiego, podkreśla inny ustęp przemówienia ministra, mianowicie:

„Na terenach zamieszkałych przez ludność mieszaną z rozwojem życia kulturalnego polskiego rozwijać się będzie równocześnie w tych samych ośrodkach życie kulturalne innych narodowości, *współpracujących z nami*“ (podkreślenie nasze).

Da liegt der Hund begraben! Bo przecie już same uwarunkowanie „równoczesności“ rozwoju kultur narodowości niepolskich „współpracą z nami“ budzi głębokie zdziwienie. Jeśli bowiem to „z nami“ ma być rozumiane, jako „z państwem“, to przecie niema w Polsce ani jednej narodowości, któraby — z własnej, czy nie z własnej woli — z państwem nie współpracowała. Każda płaci podatki państwowe (a i niepaństwowe: np. ustanowiony w miastach *iure ca. ludo* „podatek“ na teatr polski, pobierany od

młodzieży szkół średnich!); każda pełni służbę wojskową; każda *dobija się* o dostęp do posad państwowych... O co więc chodzi? Odpowiedź jasna: chodzi o to, by i narodowości obce „współpracowały“ nad tworzeniem na ich ziemiach ośrodków kultury polskiej...

Ze taką właśnie treść zawiera restrykcja p. Świętosławskiego, świadczy pośrednio dość niezręcznie skonstruowana interpretacja tego oświadczenia przez p. Testisa. P. Testis twierdzi, iż p. minister „pragnął zaznaczyć (gdzie?!), że prawo do swobodnego rozwoju odrębności kulturalno-narodowych przyznaje bez ograniczeń grupom obywateli lojalnym wobec państwa. Przy tem pojęcie lojalności powinno tu być rozumiane w sensie nie formalnym, lecz politycznym“.

Oczywiście, p. Testis nie posiada chyba od p. ministra upoważnienia do takiego właśnie interpretowania jego oświadczenia, tem bardziej, że i w tej nowej i dowolnej interpretacji leży jakieś nieporozumienie, uświadamiane zresztą i przez samego p. Testisa. Bo przecie w składzie każdej narodowości istnieją „grupy obywateli“ bynajmniej nie pragnących współpracować nad tworzeniem na swych ziemiach ośrodków polskiej kultury, a nawet i wprost nielojalnych w stosunku do państwowości polskiej. Więc restrykcja p. ministra jeszcze bardziej się rozszerza dzięki interpretacji publicysty z „Kur. Wil.“.

Ale pomińmy to. Chodzi nam o rzecz ważniejszą, niż takie lub inne interpretowanie *intencji* ministra W. R. i O. P. Chodzi o to, jak w praktyce wygląda i będzie wyglądało „szlachetne współzawodnictwo“ kultury polskiej z kulturami mniejszościowymi na terenach tych ostatnich — w warunkach, zakreślonych przez p. Świętosławskiego.

Weźmy przykład nam najbliższy: ziemie białorusko-litewskie, a jeszcze lepiej — białoruskie. Przy strasznym upośledzeniu gospodarczym, ludność tych ziem prowadzi żywot nawpół głodny, zaś pieniądze jej zarobki pochłaniają podatki i inne ciężary państwowe i samorządowe. Wycieńczona w ten sposób finansowo ludność białoruska zmuszona jest, pod rygorem kar administracyjnych, posyłać swą dźwiatwę do szkół polskich, gdyż całe szkolnictwo białoruskie — zarówno z okresu okupacji niemieckiej, jak i „Środ-

walne, że istniała ongi w Wilnie organizacja śpiegowska prałata Niemekszy, złożona najwyraźniej z księży, która tropiła wówczas... tajne szkolnictwo polskie, wykrywając rządowi rosyjskiemu... adresy konspiracyjnych lokali szkolnych. Zbyt ciężki zarzut został postawiony na podstawie tylko przypuszczeń, więc conajmniej przedwcześnie.

Co o nim mamy sądzić?

Że członkowie niecnego triumwiratu (Niemeksza, Tupalski, Żyliński), który po wywiezieniu bpa Krasieńskiego, sprawował rządy uzurpatorskie w diecezji wileńskiej (i mińskiej) aż do przybycia do Wilna bpa Hryniewickiego, musieli mieć wśród kleru, zwłaszcza na stanowiskach dziekańskich i innych eksponowanych, pewne grono adherentów, którzy *propter metum Judaeorum* lub powodowani *auri sacra fames* szli intruzom na rękę, wykonywali ich zarządzenia rusyfikacyjne w kościele, konsystorzu, szkołach i in., to rzecz jasna i nikt przeczyć temu nie będzie. Czy była jednak *ad hoc* organizacja specjalna, zwłaszcza o celach i zadaniach, ja-

kie jej p. Z. N. wyznaczył, nietylko pozwalamy sobie o tem wątpić, lecz wręcz przeczymy.

Autor z „Kurjera Wileńskiego“ popełnia błąd, więcej — nie rozumie psychiki Niemekszy, Tupalskiego i Żylińskiego, mniema bowiem całkiem mylnie, że to byli ludzie, którzy z polskością jako taką wzięli już rozbrat zupełny, również w życiu pozakościelnem, domowem, osobistem, towarzyskiem... że się wyzbyli jej docna, niemal chemicznie... P. Nagrodzki błędnie wyobraża sobie triumwirów jako fanatycznych czcicieli rosyjskości, znowuż jako takiej, a więc języka rosyjskiego, obyczaju, prawosławia, kultury... P. Z. N-mu się zdaje, że Niemeksza, Tupalski, Żyliński to byli jacyś *dynaści*, twórcy przemyślanego systemu lub programu, wybiegający wzrokiem myśli i troską serdeczną w przyszłość dalej, niż sięgnąć miał ich marny żywot ziemski; że chcieli przekazać komuś swą spuściznę ideową i tradycję walki o doraźne zrusyfikowanie nabożeństw dcdat kowych w kościele katolickim w Litwie i Białorusi. Otóż nic bardziej opaczniejszego, jak takie podejście do tej *trójki*.

kowej Litwy“, po objęciu ziem białoruskich przez Polskę, zostało zlikwidowane (kilkanaście czy kilkadziesiąt istniejących szkół państwowych utrakwistycznych nie zasługują na miano białoruskich). W jakim więc sposób ludność ta mogłaby „współzawodniczyć“ ze szkolnictwem polskim? Przecie *drugie tyle podatków na szkołę narodową zapłacić nie jest w stanie, a i na istnienie prywatnego szkolnictwa białoruskiego trzeba posiadać zezwolenie władz szkolnych, które tego nie udzielają* (w myśl wskazań Tadeusza Hołównki, który dowodził, iż istnienie np. prywatnych gimnazjów białoruskich nie leży w interesie polskiej racji stanu, i szkoły takie należy pozamykać, co Kuratorjum wileńskie najciszej wykonało!).

Widzimy więc, iż o „szlachetnem współzawodnictwie“ nie może tu być mowy ze względu na nierówność warunków istnienia „ośrodków kultury polskiej“. A niedawny incydent, jaki zaszedł z Muzeum Białoruskiem im. Jana Łuckiewicza w Wilnie, którego pewne czynniki polityczne zaproponowały... *złanie się z polską organizacją o celach wybitnie narodowych* — T-wem Przyjaciół Nauk w Wilnie, mówi najdowodniej, jak jest rozumiana „równoczesność“ rozwoju kulturalnego białoruskiego z ośrodkami kultury polskiej...

Czy może być mowa o wyścigu pomiędzy zawodnikami, z których jeden jest otoczony pieczołowitą opieką trenera, a drugi ma spętane nogi?

M. Nowiński.

„Sto tysięcy policmajstrów“.

Tak się zdarzyło, że niedawno czytałem w prasie endeckiej ciekawe wspomnienia o Romanie Dmowskim. Siegały one czasów przedwojennych, gdy patrioci polscy snuli marzenia ustawiczne o Polsce przyszłej, Polsce oczekiwanego jutra. Zagadnięty raz na temat, kimby chciał zostać w wolnej Polsce, Dmowski oświadczył: *naczelnikiem działu bezpieczeństwa*. Niezadługo potem przeczytałem znowu w propagandowym numerze wileńskiego „Słowa“ artykuł Al. Bocheńskiego „O przyszłości młodych ziemian“, gdzie spotkałem się z takimi zdaniami: „Lud jest

w Polsce za mało jeszcze wykształcony by rządzić bez tuteli biurokracji. Proletariat również. Rządzić mają urzędnicy lub *ziemianie*“. Myśl tę autor rozwija dalej tak: „W jakich więc działach mają się kształcić synowie ziemian?—We wszystkich!... W okresie rządów biurokracji, przedewszystkiem w wojsku i w *administracji*“. Myśli te wyrażone są jasno, bez dwuznaczników lub wykretów. Dlatego wprost nie sposób się pomylić co do sensu istotnego.

Gdy zastanawiałem się nad wskazaniem, jakie nasza młodzież ziemiańska słyszy na zebraniach i czyta w prasie konserwatywnej, przypomniał mi się żywo profesor historii z przed wielu lat, który omawiając rządy carowej Katarzyny II, przytoczył słuchaczom ciekawy szczegół, że „Semiramida“ północna użyła raz jako inwokacji w odezwie swej do szlachty słów następujących: *Miłyje moi sto tysięcy policymajsterow!*.. Taką rolę wyznaczyła wtedy przebiegła carowa swemu „dworianstwu“ względem ludu wiejskiego i naogół grup ludności, jakie do szlachty nie należały.

To znamienne, że młodzieży ziemiańskiej p. A. Bocheński nie doradza dziś zabiegać o uczestnictwo w pracy ustawodawczej, czy to na terenie izb obu, czy to w dziedzinie naukowych studjów i badań prawnych, czy to wreszcie w sądownictwie. Celem jej ma być dziedzina władzy *ściśle* administracyjnej, policyjnej..., która potrafi każdą konstytucję sprowadzić na nice lub zredukować jej znaczenie do mianownika „honorowej“, inaczej „drążkowej“ (w zaborze austriackim drążkowy jest czasem synonimem honorowego!). I pomyśleć tylko, że walka o niepodległość i wolność zgnębiętego przez najeźdźcę narodu kończy się utworzeniem w nowym państwie własnego działu bezpieczeństwa i rozpoczęciem jego działalności w stosunku do nie mających państwa własnego narodów. R. Dmowski, jak słyszałem, podobno wcale nie szlachcic, tylko tyk mieszczanin. Wzdychając tedy do szefostwa działu bezpieczeństwa w Polsce odrodzonej, nie myślał napewno leader endecji o tem, by drogą represyj tłumić poważniejsze odruchy niesforności chłopstwa polskiego (w szerokim ujęciu tego pojęcia). Mógł mieć na myśli przeważnie, jeśli nie wyłącznie ludność miejską z kadrami proletariatu tak zatrudnionego, jak bez-

Właśnie Niemeksza, Tupalski i Żyliński byli to wcale nie dynaści, lecz *rasowe pompadury*. Dewizą ich życia było *carpe diem*. Diecezji zabrakło biskupa, rządca czasowy, wiekowy prałat Bowkiewicz okazał się człowiekiem niedołężnym i słabym, presja rządowa popowstaniowa była niesłychanie ostra, sterozywane społeczeństwo polsko-katolickie straciło całkiem głowę..., tymczasem rząd rosyjski szukał partnerów do podłej gry. Nadeszła w ten sposób chwila wymarzona, by typowi a sprytni karjerowicze i kombinatorzy mogli chyłkiem wysunąć się naprzód i dogóry. Skorzystali z tego wpelni i naraz otrzymali wszystko: godności, zaszczyty, order, pieniądze, zapewnioną bezkarność... Dlatego najzupełniej zlekceważyli oni to, czego im musiało odmówić społeczeństwo tak świeckie, jak duchowne. Nie dbali wcale o honor, zaufanie, sąd potomnych... Bo czyż pod opieką Murawjewa i jego epigonów bać się jeszcze kogoś potrzebowali?! Bynajmniej! Traktowali tedy społeczeństwo Wilna i kraju *per non est*. Robili swoje, nie zwracając na nic i na nikogo żadnej uwagi.

Najwyraźniej byli oni wyznawcami praktycznymi słynnej maksymy pani Pompadour: *Après moi le déluge*. Miałyby więc martwić, niepokoić i zawadzać tajne polskie szkółki i takie pensje dla panienek? Co te „robaczki“ miały u nas wspólnego z rusyfikacją nabożeństw dodatkowych i kazań? W czym im przeszkadzały lub zagrażały? Jeszcze niepamiętnie wygórowaną byłaby dla tych liczonych szkółek nazwa *quantité negligable*, bo były w oczach tych kalifów na godzinę poprostu niczem, tj. rzeczą niedostrzegalną dla oczu tych, którzy wzrok swój całkowicie utkwili tam, skąd szła łaska generał-gubernatorska, splendory, a nadewszystko ruble. Mało znana ogółowi szerszemu postać ówczesna, patrząc zbliżona na jednego z tych pompadurów i razem czcicieli rubla carskiego, tak właśnie zaczęła swój wiersz satyryczny o nim:

Rubel, to istność. Rubel, to bóg).*

*) Archiwarjusz p. W. Śtudnicki dowodzi, że okres Żylińskiego zna również nazwiska kapłanów rusyfikatorów, którzy pochodzili nietylko ze znanych wówczas sfer ziemiańskich

robotnego, które wszędzie bodaj najwięcej przysparza dziś kłopotów i trosk władzom państwowym. Tymczasem kierowani lub kierujący się i sposobiący do służby administracyjnej ziemianie, zwłaszcza u nas na ziemiach etnograficznie niepolskich, nie odbiegają zbyt daleko od praktycznego ideału, jaki ręka carowej Katarzyny II nakreśliła dla odwiecznej podpory swego tronu, szlachty rosyjskiej.

*

Dziś jest sporo ziemian bez ziemi. Osiada też na ziemi nie mało tyków, w charakterze osadników. Niekiedy nawet dorobkiewiczze spośród włościan, nieco poduczni i pożeni z posażnymi jedynaczkami, sprawiają sobie bekieszę, noszą kapelusze tyrolski z fantazją kawalerską, kupują dubeltówkę, trzymają psy myśliwskie, słowem charakteryzują się na ziemian, i nie tylko się charakteryzują, lecz przyswajają sobie rychło co łatwiejsze z ideologii ziemian prawdziwych. Ci ziemianie świeżej formacji są mimo wszystko ziemianami, bezwzględnie na to, że niejeden z żubrów odmówi im tego, a niejedna *grande dame en exil* powie o nich z westchnieniem: *Mon Dieu! Quelles manières!*... Czy jednak ogół miałby powody już dostateczne odmawiać im tego, że siłą faktu weszli do klasy ziemiańskiej, acz może nie przez schody frontowe? Wcale nie. Słuszność wszakże nakazuje twierdzić, że to nowe ziemianstwo, mniej lub i całkiem wątpliwe rasowo, zdradza pochop szerególny, by w miastach powiatowych, miasteczkach, wsiach, osiedlach i kolonjach upodobnić się do dawnych rosyjskich policmajstrów. Rozległa skala zatrudnień prototypu ułatwia tym policmajsterkom znalezienie sobie według gustu dziedziny, gdzie się wyładować może temperament społeczny nowego posesjonata.

W artykule niniejszym pragnąłbym zwrócić uwagę na jeden tylko przejaw aktywności takiego miłego policmajstra.

Oto z patosem niegasnącym nawet poważna publicystyka polska i głębsze jednostki, bardzo chętnie lubią przypominać, w święto i dnia powszedniego, jak to za czasów carskich był u nas zakaz równienia po polsku, że istniały dziś przechowywane w zbiorach muzealnych tablice z napisami: *Po polski góworit' wosprieszczajetsia*.. Istotnie, tak było

czas pewien i warto o tem pamiętać. Lecz czy czasy dzisiejsze na Litwie i Białorusi nie znają też potworności analogicznych? Czyż dziś np. w gminie lub w śródowniku nauczycielskiem na wsi lub po miasteczkach przesadny w swej gorliwości urzędnik, neo-ziemianin o duszy policmajstra, nie uważa za kryminał, że jakiś zatrudniony w szkolnictwie polskiem nauczyciel Ukrainiec lub Białorusin rozmawia—w domu z żoną i dziećmi—w języku ojczystym? Że ktoś ma żonę Litwinę lub Rosjankę? Że inny czytuje czasem „Bieł. Krynicę” lub zajrzy do „Vilniaus Rytujus”!

Znamy takich i jest ich więcej, niżby się zdawać mogło.

Przed progiem domu polskiego lub mieniącego się być polskim zatrzymywała się zwykle ongi ingerencja policji rosyjskiej, która godziła się zupełnie, że ktoś w domu z rodziną swoją rozmawiał po polsku, tymczasem teraz czytam i słyszę, że urodzeni policmajstrzy polscy nie mogą się żadną miarą pogodzić, że ktoś w domu z żoną i dziećmi rozmawia po litewsku lub białorusku.

Ach, miłyje moi sto tysiacz policejmejsterow!...

Ad. Sołoduch.

FELJETON.

Równość przed prawem.

— Napisz pan feljeton, ale taki, żeby znów nie było... nieprzyjemności. Jeżeli mi jeszcze raz skonfiskują numer spowodu pańskiego feljetonu, to kwita z przyjaźni...

Takie zastrzeżenie uczynił redaktor, namawiając mnie i zachęcając do napisania feljetonu. Trudno — chciałbym utrzymać przyjazne z nim stosunki. Muszę coś napisać, lecz nade wszystko muszę mieć pewność, że nie będę skonfiskowany. Jak to zrobić?...

Już wiem — wyratuje mnie „równość przed prawem”. Ta szacowna fikcja, ten nieziszczajny dezyderat — ma jeszcze prawa monety obiegowej u nas. Wszystkie więc czasopisma są równe w obliczu prawa. Poprostu, nie napiszę nic takiego, co by już gdzieś

Postawmy teraz jeszcze inne pytanie: czy w Niemceży, Tupalskim i Żylińskim istniało naprawdę podłoże dla jakiejś zasadniczej organicznej wrogości do języka polskiego, a więc i do jakiejś tam domowej oświaty polskiej w Wilnie? Twierdzimy, że tego nie było wcale. Wymienieni księża byli niegorszymi, jeśli chodzi o pochodzenie, szlachcicami polskimi, pieczętującymi się herbami. Ponadto wszyscy oni tak lub owak, zamieszani byli w wypadkach 63 r. i teraz zacierali ugoda ślady przeszłości niedawnej. Dla nich wszystkich mowa polska była również rodzinną, domową. Na stosunek do polskości Żylińskiego jeszcze rzuca światło wymowne fakt, że firmowy ten nazewnątrz rusefikator jednocześnie pa-

lecz byli materialnie tak, dobrze sytuowani i niezależni, że moment korzyści materialnej, drogą zaległości rządowi carskiemu, nie odgrywał tu żadnej roli, a i dowodów pozytywnych co do otrzymywania przez nich „judaszowych srebrników” niema żadnych. Być może, że czasami odgrywały rolę też inne względy: wrodzony serwilizm, indyferentyzm narodowy, nawet obawa o losy i byt Kościoła. Ale to nie dotyczy triumwirów.

łał dziwnym afektem do wszystkiego, co miało jakiś związek właśnie z przeszłością Polski. Przepłacał przecież, nabywając u nabierających go antykwaryjuszów z pod ciemnej gwiazdy, takie pseudo-antyki, jak nie przymierzając pantofelki królowej Jadwigi, buty króla Jana Sobieskiego, samowar Napoleona... Dobrze to pamięta p. Lucjan Uziębło. Dziwny naprawdę sentyment miał do tych wszystkich pamiątek polskich *hrabia rzymski* Żyliński, którego snobizm utracjuszowski czynił rzeczywiście podobnym do jednego z arystokratów polskich.

Czyż ówczesne władze rosyjskie w Wilnie nie miały tysiąca innych sposobów na to, by w dobie powstaniowej (gdy tyłu Polaków zdezerutowało całkiem do prawosławia i rosyjskości, a tyłu innych się pożeniło z prawosławniemi Rosjankami lub jeśli chodzi o kobiety, wyszło zamaż za prawosławnych Rosjan), wysledzić w Wilnie istnienie tajnej szkółki polskiej? Znowu prowadzący u nas tajną oświatę polską napewno nie byli to jacyś krety, co by mieli uważać sobie za grzech tę działalność, więc nie mogła istnieć nawet potrzeba najmniejsza wzmiankować

najlegalniej nie zostało wydrukowane i wówczas będą najzupełniej opancerzony.

Przedewszystkiem więc rzucam w radosnem upojeniu: „*Niech żyje rząd robotniczy i włościański*”... Co, antyrządowa propaganda?... Nic się nie boję i będę krzychał do zachrypięcia: „*Niech żyje rząd robotniczy i włościański*”...

Jak będę miał siły, to ryknę jeszcze: „*Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!*”... Powiadacie, że popieram międzynarodówkę, dążąc do przewrotu socjalnego?... Kpię sobie z tego. Nikt mi nic nie zrobi...

Jak wpadnę w hazard, to dodam jeszcze: „*Niech żyje socjalizm!*.. Wiem dobrze, co to znaczy. Chodzi o zmianę panującego ustroju, chronionego przez ustawę aktualną. A jednak pełen jestem poczucia bezkarności. Bo codziennie to czytam u Zielonego Sztralla najlegalniej wydrukowane. I to tłustemi czcionkami. I to w nagłówku. I to od 17 lat.

Gdyby mnie jednak za te występne hasła ruszono, (czyż można być czegoś pewnym na tym świecie?...), to jako jedyną obronę pośle odnośnym władzom jeden egzemplarz „*Robotnika*”.

Tak samo teraz nic się nie boję pisać o tem, że administracja w Polsce jest biurokratyzowana. Mogę śmiało puszczać się na wszelkie wycieczki przeciwko biurokracji i dowodzić, że ona wadliwie pojmuje swoje posłannictwo, że niepotrzebnie odgracza się od obywatela stertami papierów, że choruje na formalizm i t. d. Bo kiedy kilka tygodni temu już było krucho z mną spowodu mych ataków na system biurokratyczny i kiedy w rozgorączkowanej wyobraźni widziałem już siebie, rzucającego posępne spojrzenia na salę z wysokości ławy oskarżonych, — wówczas najniespodziewaniej w świecie przyszli mi z odsieczą Minister Spraw Wewnętrznych p. Władysław Raczkiewicz i premier p. Marjan Zydran-Kościakowski. Obydwaj ci panowie z trybuny sejmowej wskazali na walkę z biurokratyzmem, jako na konieczność państwową, jako na nakaz chwili.

Oczywiście, dzisiaj ton mojego feljetonu o Cioci Biurci nie mógłby być potraktowany jako *crimen laesae maiestatis*.

Ale z drugiej strony nie głupim dzisiaj pisać o tem, że dobrzeby było, aby w szkołach powszechnych dzieci białoruskie i dzieci litewskie mogły być bez żadnych trudności nauczone w języku macierzystym. Nie będę dotykał takich drażliwych tematów, jak to, że administracja miejscowa mogłaby się składać z ludzi, znających tutejsze obyczaje i język. A już, broń Boże, nie ruszę piórem, aby niem nakreślić taką herezję, że kraj tutejszy nie jest podobny,

jak dwie krople wody, do Małopolski, do Kongresówki lub do Pomorza, że ma on swoistą flzjognomję pod względem etnicznym, językowym i obyczajowym, że korzenie tej odrębności tkwią gdzieś głęboko w historii, że nacjonalizm zaborczy należy zwalczać po tej i tamtej stronie, — bo takie tematy mogą być jeszcze niebezpieczne.

Dopiero, jak któryś z polskich mężów stanu wypowie podobne rzeczy jasno i otwarcie z tej czy innej trybuny, a gazety wydrukują czarnemi czcionkami na białym papierze, dopiero wówczas „*Przeгляд Wileński*” będzie mógł wprowadzić takie tematy na swoje podwórko bez obawy o konfiskatę.

Albowiem tak się u nas rozumie „*równość przed prawem*”, no i wolność prasy.

Bolesław Szyszkowski.

Dziesięciolecie litewskiego Towarzystwa św. Kazimierza.

Jeśli uprzywiljowana u nas pod każdym względem, a posiadająca szeroko rozbudowany rządowy aparat szkolny, oświata polska posługuje się od dawna w Wileńszczyźnie jeszcze Polską Macierzą Szkolną, organizacjami Kół Młodzieży Wiejskiej i w. in., to niema w tem nic dziwnego, że ani litewskie oświatowe T-wo „*Rytas*” (mimo dużych pod tym względem zasług), ani konkurująca z niem „*Kultura*” (mimo swych wysiłków) nie mogą całkowicie wystarczyć oświatowym potrzebom wsi i ludności litewskiej. Pleniąca się znowu w cieniu murów kościelnych, a nader rozgłośna swego czasu organizacja S. M. P. (Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej), dziś rwiąca się, przy tej samej zgoła treści, Stow. Młodzieży Katolickiej, była i jest zbyt już wyraźną ofensywną ekspozyturą endecji poznańskiej na naszej ziemi i wśród naszego niedość uświadomionego ludu, by mogło mieć jakiś sens tworzyć w parafjach litewskich lub mieszanych jej oddziały, któreby uzależniono odrazu od centrali i płynących z Poznania dyrektyw, bo przecież o jakiejś chociażby pozornej autonomji lub równorzędności mowy być nie może. Zresztą sprawiedliwość każe tu zaznaczyć, że S. M. P. nie dobijało się zbyt natarczywie do chat litewskich, rozumiejąc widocznie, że nie ma tu nic do roboty.

Stąd właśnie, z tego oczywistego zaniedbania wsi litewskiej i jej ludności, z bardzo niedostatecznego, wskutek rozmaitych przeszkód zewnętrznych

o niej na spowiedzi. Chybiony to strzał ze strony p. Z. Nagrodzkiego.

*

Konserwatyzm zatrudnionego w oświacie polskiej koła narodowców w Wilnie miał się wyrażać, według p. Z. N., w zaproszeniu do współpracy stałej ś.p. ks. Jana Nowickiego. Merytorycznie trochę to już przestarzałe, że każdy ksiądz koniecznie a wyłącznie reprezentuje konserwę. Wilno widziało tylu księży, których z konserwą nic zgoła nie łączyło. Poza tem typ skończenie patologiczny i manjakałny, jak ś.p. ks. J. Nowicki, który życie zakończył w szpitalu dla nerwowo chorych, najmniej też nadaje się na reprezentanta jakiegokolwiek myśli politycznej.

Reprezentował tylko swoją chorobę. Zresztą był kapelanem czerwonego, w mniemaniu ówczesnej konserwy wileńskiej, biskupa Roppa.

*

Wymieniając wkońcu szkoły cerkiewno parafjalne, p. Z. N. nie wspomniał zgoła o tym, który dla sparaliżowania wpływu ich, uczynił swym historycznym okólnikiem nierównie więcej, niż wszyscy oświatowcy polscy razem wzięci, — biskupa wileńskiego Zwierowicza. Dziwne a krzywdzące przeoczenie.

Archiwista.

obsłużenia jej przez towarzystwa „Rytas” i „Kultura”, z palących potrzeb chwili współczesnej, gdy wieś powojenna zaczyna poprostu dziczeć, zrodziła się myśl powołania do życia organizacji kulturalno-rozrywkowej, apolitycznej, a opartej o światopogląd katolicki, która kształt konkretny przybrała w zatwierdzonej przez władzę litewskim T-wie św. Kazimierza, z centralą w Wilnie, a oddziałami na prowincji.

Rozwój tego T-wa najwymowniej stwierdził, jak ono było na czasie, jak pilna była jego potrzeba i jak czekało na nią życie naszej ludności litewskiej, zwłaszcza na wsi. Zdawaćby się mogło, że władze administracyjne ustosunkują się przychylnie do organizacji o charakterze właśnie zachowawczo-konstruktynym. Stało się atoli wręcz inaczej. Gdy w latach ubiegłych T-wo św. Kazimierza niekiedy doznawało tu i ówdzie trudności i przykrości, dziś stały się one już czemś codziennym. Niema bodaj teraz dnia, by wileńska prasa codzienna nie przynosiła nam wiadomości o zamykaniu na prowincji oddziałów wzmiankowanego T-wa. I tak się dzieje już bez przerwy od kwartału, jako dowód namacalny, że nastąpił dziś w Wilnie dla Litwinów kurs twardej ręki. Tak oto wciąż czytamy, że to ta, to owa czytelnia, ogródek i in. instytucje T-wa św. Kazimierza stały się naraz niebezpiecznymi dla spokoju i ładu publicznego. I oto gasną rozpalone z dużym wysiłkiem ogniska kultury i mrok powoli znowu zasnuwa u nas wieś litewską. Starsi, co z nich korzystali, odniosą teraz poczucie wyrządzonej mu krzywdy, zato młodzież tem skwapliwiej może zabierać się do rozpruwania na weselach, chrzcinach i wieczorynkach cudzych brzuchów, pławić się w pjaństwie i rozpuścić...

T-wo św. Kazimierza znalazło wdzięczny odzew nie tylko na wsi, lecz też wśród litewskiej młodzieży rzemieślniczej i służebnej m. Wilna. Młody uczeń rzemieślniczy ma jeszcze zamknięte przed sobą drzwi lokalów związkowych, a młoda służąca, co pierwiej niż przybyć do miasta, ukończyła już kilka oddziałów szkoły T-wa „Rytas”, „Kultura” lub utrakwistycznej, nie śpieszy dziś do litewskiego związku sług św. Żyty w Wilnie, jako do siedliska przeważnie weteranek służby domowej, gdzie najczęściej nie znajduje dla siebie zrozumienia. Więc i te dwie grupy młodzieży litewskiej, podobnie jak ich ziomkowie na wsi, korzystają chętnie z opieki T-wa św. Kazimierza. Czy jednak nie jest czasem ta właśnie okoliczność przyczyną nielaski?

*

Na mającą uświetnić X-lecie istnienia litewskiego T-wa św. Kazimierza akademję uroczystą udzielono pozwolenia dostownie w ostatniej chwili. Odbiło się to naturalnie cokolwiek na frekwencji. W ładnej sali gimnazjum przy ul. Dąbrowskiego 5, w dniu Patrona Litwy, wszystkie organizacje litewskie, w osobach swych przedstawicieli, składały po wieszowania. Znamienny był liczny udział akademików litewskich U.S.B. Na akademję przybyli nawet ci, co ideologicznie dalej stoją od T-wa św. Kazimierza. Nadesłano depesze, nieraz ze stron dalekich, nawet z Ameryki. Nie zabrakło Białorusinów. Przykro tylko, że żadne pismo gratulacyjne nie wpłynęło dla tak poprawnie katolickiego i kierowanego przez księży T-wa św. Kazimierza ze strony miejscowej władzy duchownej. Niezręcznej tej sytuacji nie mogły uratować nadesłane zza kordonu dla T-wa życzenia biskupa J. Kuchty.

Rimtas.

P. S. W ostatniej chwili, już po napisaniu powyższego otrzymujemy wiadomość, że ks. Rasztutis, ruchliwy działacz na terenie T-wa św. Kazimierza, zamieszkały w Wilnie od kilkunastu lat, lecz nie posiadający obywatelstwa polskiego, otrzymał nakaz opuszczenia granic Rzeczypospolitej Polskiej do d. 15 marca.

Fermenty i przeobrażenia wśród prawosławnych Wileńszczyzny.

Przeszło rok temu zabieraliśmy ostatnio głos o stanie Cerkwi prawosławnej u nas, stwierdzając pewną stabilizację jej bytu, który jeden wybitny prawosławny dosatnie określił, nazywając referenta wojewódzkiego spraw wyznaniowych w Wilnie *archirejem* rządzącym, a zbliżonego doń archimandrytę—*wikarym*. W przekładzie na język zwykły znaczyło to, że serwilizm i oportunizm zbudowały na długo ciepłe gniazdko w monasterze św. Ducha, który rządzi archieparchją wileńską.

Zdawaćby się mogło, że żmudny proces wyszukiwania coraz nowych dowodów przedziwnego zrostu, jaki miał istnieć za czasów b. Rzeczypospolitej między polskim prawosławiem (*blahocestijem*) a polskim rządem, będzie odtąd, acz zwolna, posuwał się naprzód. Nie można bowiem poprzestać na wyszukany gdzieś przez p. Wacława Gizbert-Studnickiego jednym tego dowodzie, mianowicie, że podobno na cerkwi św. Trójcy w Wilnie istniała ongi tablica opiewająca, że ufundowana jest na pamiątkę zyciostwa Konstantego księcia Ostrońskiego pod Orszą nad wojskiem moskiewskim, czyli prawosławnego polskiego nad współwiercami moskiewskimi. Tymczasem w ciągu roku minionego sprawy poszły odmiennie, szczególnie kwartał ubiegły, poczynając od grudnia, obfitował w posunięcia różne a sprzeczne.

Cofnijmy się o trzy miesiące wstecz. Schyłek 1935 przyniósł archieparchji wileńskiej dwie niespodzianki. Oto prawosławny konsystorz wileński przeszedł w swej biurowości na język polski. Zmiana sama w sobie nie tak jeszcze wielka, jeśliby nie organiczne, w mniemaniu masy prawosławnej, zrosnięcie się na życie i śmierć rosyjskości z religją prawosławną, które wpływem na umysłowość rosyjską może z powodzeniem walczyć o palmę pierwszeństwa ze znanym nonsensem, że katolik a Polak, to jedno. Fanatycznie konserwatywny u nas wyznawca Cerkwi prawosławnej, słysząc brzmienie mowy polskiej w życiu cerkiewnym tam, gdzie dotychczas panował niepodzielnie język rosyjski, gotów wnet ręce załamać i zawołać w niebogłose: *Da wied' eto czystoje katoliczestwo!*... Jak widać, takie ciasne lby nie są przywilejem wyłącznym jednego jakiegoś wyznania, bo spotkać je można w każdym. Oczywiście najracjonalniejsze, jeśli władza duchowna uwzględni w równej mierze wszystkie mowy swej trzody, nie narzucając żadnej.

Drugim posunięciem, które dość niespodzianie zrobiono w tymże czasie w murach św. Ducha, był okólnik w sprawie posługiwania się na wsi, w prawosławnym nabożeństwie dodatkowo, więc w kazaniach, katechizacji i in., językiem białoruskim. Na zewnątrz wygląda to na znaczne ustępstwo słusznym postulatam ruchu białoruskiego odnośnie do naszej wsi, przyszło jednak zgoła nieoczekiwanie, nie zostało poprzedzone jakąś pracą przygotowaw-

czą (wydawnictwem białoruskich książeczek religijnych, pisemek, ulotek) i trafiło na grunt niepodatny, bo na milczący opór większości olbrzymiej, trzymającego się z wielkorosyjska naszego kleru prawosławnego. Łatwo tedy domyśleć się, że w ten właśnie sposób forsowana akcja skutku prawie żadnego nie miała. Wątpimy więc, czy odnośny okólnik powiększył grono tych, co jak o. Kowsz mieli odwagę odzywać się w cerkwi z ambony po białorusku. Istniejące znowu w języku białoruskim prawosławne katechizmówki (W. Łastowskiego, J. Stankiewicza) są już przestarzałe i nie odpowiadają potrzebom obecnym. Doprawdy przy całej wierze w dobrą wolę autorów okólnika wzmiankowanego, ciśnie się mimowolnie posądzenie ich w tym wypadku co najmniej o dyplomację.

Ilustracją nastrojów rozdźwięku i nieładu w stojącym dziś na rozdrożu naszym prawosławiu był jednak przedewszystkiem niedawny a niejako historyczny pogrzeb ś. p. o. protojereja Kraskowskiego, który dosadnie wykazał, że wśród prawosławnych ciągnie „jeden do lasa, drugi do sasa”. Ież podczas pogrzebu padło ostrych słów pod adresem prawosławnej władzy duchownej w Wilnie i dziedzicznej jej słabości do rosyjskości?! Jak przejrzyste aluzje zawierała miana w cerkwi św. Ducha przemowa żałobna o. archimandryty Morozowa, którego odejście z Wilna do diecezji pińskiej przekonywa nas, że świeżo znowu musiała odbyć się w pokojach archierejskich u św. Ducha nowa rewolucja pałacowa, pogrążająca jednych, wynosząca na powierzchnię drugich. Dzieje się to wszystko za plecami sympatycznego arcniwładki wileńskiego Teodozjusza. Lecz nie to jest najważniejsze, bo przewrotów takich Wilno widziało u św. Ducha aż nadto dużo i może nie ma już jeszcze zobaczyć.

Prawdziwem *clou* pogrzebu ś. p. o. Kraskowskiego była przemowa żałobna syna nad mogiłą ojca, na cmentarzu św. Eufrozynji. Zamieniła się ona niejako w akt oskarżenia duchowieństwa prawosławnego o sympatje wielkorosyjskie. Godnem jej zakończeniem był odśpiewany przez obecnych tu na cmentarzu Polaków „Anioł Pański”, czego chyba nigdy jeszcze w tem miejscu nie słyszano.

Może się komu nasunąć stąd wniosek: a więc prawosławie u nas winno się spolszczyć doreszty?— Taki jednak wniosek też będzie mylny.

Każde wyznanie, a więc i prawosławie, o tyle spełnić może swoje zadanie, o ile pozostanie wyznaniem, a nie funkcją czyjśgo nacjonalizmu lub przybudówką państwa.

Wat.

Bibliografia.

Kantak Kamil ks. *Czy Franciszkanie wileńscy byli rozsadnikami religijnej reformy niemieckiej w w. XVI?* Wilno. 1935.

Rozprawka ta zawiera zaledwie stronic kilka. Daje jednak odpowiedź na pytanie powyższe równie wyczerpującą, jak uzasadnioną. I nie dziw, skoro głos tu zabiera taki znawca franciszkanizmu u nas, jak ks. Kantak. Autor wykazuje dowodnie, że znany

ongi Wilnu A. F. A(damowicz), być może dzielny profesor b. uniwersytetu, był wcale miernym historykiem. Zwłaszcza jego broszura „Kościół Augsburgski w Wilnie” zawiera pełno bałamuctw i błędów, w rodzaju że wszyscy protestanci na Litwie od r. 1548 byli luteranami, gdy odwrotnie panował tu kalwinizm; że rzekomo do Franciszkanów wileńskich należał Lizmanin i wiele tu miał zdziałać, gdy działalność jego w tym zakonie przypada na lata późniejsze... Zresztą ma o tem szerzej pouczyć nas autor w zapowiedzianej i przygotowywanej przezeń biografii niepospolitego zakonnika.

Lektura tej notatki przypomniła mi, że przed półwiekiem notatka filologiczna w kalendarzu, która wyszła z pod pióra znakomitego filologa samouka ks. Jawnisa, dała autorowi stopień doktora uniwersytetu kazańskiego i utorowała drogę do sławy.

P. K.

Skruteń Josaphat. *Apologia de Mönchspriesters Job gegendie Argumente zugunsten der Lateiner.* Sofia. 1935.

Nazwisko autora referatu nie jest obce czytelnikom „Przeglądu Wileńskiego”, gdzie nieraz były rzeczowe wzmianki o osobie zasłużonego redaktora poważnego czasopisma naukowego o dużych ambicjach, jakim są *Analecta Ordinis S. Basilii Magni* we Lwowie, poświęcające też niemało miejsca przeszłości zakonu bazylijskiego na ziemiach litewsko-białoruskich, acz niestety, nie dość znane nawet w naukowych bibliotekachm. Wilna.

Już w r. 1935 o. Skruteń uczestniczył w IV międzynarodowym zjeździe badaczy bizantynizmu w Sofji i wygłosił na niem zajmujący odczyt o mało u nas znanym, lecz uczonym a ciętym polemście mnichu Hiobie, który ostro się przeciwstawiał współczesnym sobie tendencjom, zmierzającym ku zbliżeniu obu połów rozdartego już chrześcijaństwa.

Wygłoszony po niemiecku na powyższy temat referat o. Skrutenia świeżo się ukazał w tomie IX. *Bulletin de l'Institut archéologique bulgare*, skąd pochodzi odbitka omawiana. Dla Wilna to rzecz zbyt specjalna, więc wnikać w szczegóły nie będziemy. Wystarczy jeśli zaznaczymy, że polemika wzmiankowana toczyła się w w. XIII na wschodzie i po grecku chociaż kodeksy odnośne trafiły jakąś drogą jeden do Wiednia, drugi do Monachjum, zapewne w okresie wzmożonego na zachodzie interesowania się zapomnianym dotąd światem kultury i mowy greckiej.

Wiernie ktoś oddał nastrój polemisty, dopisując na marginesie „Apologii” — *contra Papales*, których gdzieindziej nazywa *kościółem italskim* lub wprost *italczykami*. Czegoż nie zarzucał ów mnich katolikom?! Nawet obchodzenie świąt żydowskich. m. in. szabasu... Zaznaczyć trzeba, że „Apologia” ułożona została na rozkaz wyraźny patriarchy Józefa.

O. Skruteń obiecuje na szpaltach czasopisma *Analecta* wkrótce bliżej zaznajomić czytelników z treścią tego dzieła.

Grek.

